Jesień przeleciałem na cyku, z wizją, że w każdej chwili mogę iść na oddział. Piłem ze stresu, na zapas. W strachu, że może się to w każdej chwili skończyć. Zamknięty w sobie, w tej celi śmierci, ubrany w lęk jak w świąteczny sweter, zmieniałem flaszki na stole z pustych na puste.

Życie to klisze najczęściej – zrozumiałem, gdy moja dziewczyna przyszła z analogiem do domu. — Patrz co znalazłam! Był to piękny, ruski aparat, kupiony za grosze na pchlim targu, nie wiedziałem, że klisze do niego będą nas kosztować śniadania, obiady i kolacje, byłem dumny, że robi coś więcej niż przeglądanie insta. Na pierwszym zdjęciu, które wywołaliśmy, siedziałem z flaszką wina, na drugim, i każdym następnym byłem albo z kieliszkiem, albo z butelką, albo z kubkiem, w którym również nie było herbaty. Piękne zdjęcia, doprawdy piękne — powiedziałem w szczerym zachwycie, gdy wkładała je w ramki.

No i zima przyszła, jebana. Święta przyszły. Jestem w pociągu w relacji: *nie wytrzymam dłużej na świętach z rodziną – Kraków.* Dwudziesty piąty grudzień. Mam wino przelane do półtoralitrowej butelki i zjazd.

Dzień wcześniej.

Wigilia. Zimny pot spływa między łopatki, wyduszam przez zęby w stronę matki i babci: — Nawzajem, nawzajem. Siadam do barszczu ze zdrętwiałym przełykiem i wiem, że nie wleję w siebie nawet łyżki. Wstaję od stołu. Mama: — Gdzie wstajesz? Można wstać, jak każdy zje! Mijam przedpokój i do łazienki. W lustrze kiwam głową na wszystkie strony, obcy, jakbym przypadkiem wpadł na siebie w tramwaju. Śmieję się, płaczę, wyginam żuchwę na wschód, zachód, północ i południe. Wszędzie widzę białe pełzające robaczki, przez które nie mogę dotrzeć do źrenic. Wyciągam worek z koksem i sypię na kibel. Nie dzielę, biorę na sztych. Podnoszę się i z nosa wylatuje mi czerwone coś, przypominające kawałek mózgu. Wyrzucam do kibla i czekam. Obraz się normuje, robię się gorący, tętno przyspiesza.

Wracam do stołu i zapijam winem, to, co właśnie spływa po gardle. Mama mówi, żebym przystopował, a babcia prosi, żebym nalał jej kieliszka. Wstaję, a mama znowu: — Gdzie! Podchodzę do babci z flaszką, a ona, kiwa głową na nie, i palcem pokazuje na barek pod telewizorem. Znajduję tam buteleczkę i pokazuję, czy to, to to? Babcia kiwa głową na tak. Nalewam do kieliszka i wlewam powoli w usta, podtrzymując kark, żeby się nie zakrztusiła. Nalewam do tego samego kieliszka, i przechylam. Dobre to mosz — mówię.

— Czemu pijesz po babci? Przecież widzisz, że ma grzybicę na ustach.

Patrzę na babcie, i porozumiewawczo kiwamy do siebie, żeby wypić jeszcze po jednym.

Przy stole dalej leży barszcz. Marzę, że zniknie, gdy zamknę oczy. Gmeram łyżką, wróżę. Pogoda w dalszym ciągu będzie zła, i w ogóle losy świata też będą złe. Za oknem nieśmiało pierwszy śnieg, patrzę na siano na stole, na babcie na materacu przeciwodleżynowym, na matkę wyjmującą ości z karpia. Pragnę, aby każde jedzenie na świecie przestało istnieć, żeby uszka z barszczu zamieniły się w kulki koksu, żeby usta przyjmowały jedynie nabrzmiałe kokainowe kutasy, twarde jak kość. Roztaczam wizję o wielkiej świątecznej orgii, wyłączając z niej rodzinę. Wigilia z kurwami z roksy. Worki kokainy, viagry, pełno jebania i małpiego rozumu. Chuć. Proste instynkty, brak kurtuazji, czyste, hardcorowe jebanie, okraszone

świątecznym nastrojem. Tego potrzeba ludziom w święta, wyjebania po wsze czasy, potrzeba wzwodu i tarła, spermy i soków, kurwich spojrzeń i ulgi. Niemiłości. Przewietrzenia. Gdyby święta były zaprzeczeniem obecnie panujących norm, byłoby mniej samobójstw w grudniu. Nostalgia. Jebana iluzja szczęścia, dzieciństwo za oknem, śnieg za oknem, cały ten świąteczny, cynamonowy wkurw. Z wiekiem coraz większe rozczarowanie, stąd śmierć. Kaput.

Im więcej dzieciństwa w dorosłym życiu, tym koniec bliższy. Umierasz. Trzeba ze wspomnień zabierać, stąd śmierć. Kaput.

Każdy wracający pociągiem do domu na święta ćpun, bimba nad rozczarowaniem kompletnym. A to gorzej niż iść po linie nad niebem. Spaść i umrzeć, chciałbyś! Spadasz i niesiesz brzemię, każdego roku coraz cięższe. Spadasz i żyjesz. Mama żyje, babcia żyje – ledwo, ale wciąż, bracia żyją i jedzą mmm, uszka, jakie pyszne, a ten barszczyk, mmm, ale pyszny, mmm, rybka, pyszna. Świat potrzebuje przerwy. Ty potrzebujesz przerwy, jeśli jesteś ćpunem. Jeśli jesteś alkoholikiem musisz się ostro nachlać, żeby nie wbić matce widelca w czoło, za to, że przez całe życie karmiła cię swym rozczarowaniem. Musisz się naćpać i ostro skurwić, żeby przestać nieść niespełnione oczekiwania tej twojej kurwy, matki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 16.02.2021 11:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.